

Nr. 44. Poznań, dnia 2 Listopada 1878. Rok I.

Do Łaby.

Łabo Słowiańska, kędy owe czasy
Gdy Syny Słowa twe osiadły brzegi,
Gdy z mieczem w krwawe dążyli zapasy,
Łamiąc żelazne Germanów szeregi;
Ich wodze — Czechy, Lechy, Rusy, Kroki,
Tak zasłynęli jako świat szeroki;

I zapuszczali wojenne zagony,
W grody Cezarów zwycięztw dzierżąc szale.
Z odległych krain w dom zwozili plony,
Niepowstrzymani ni przez Renu fale;
Przed nimi w lasy pierzchał Teuton dziki,
I drżały w Galji Rzymu namiestniki.

Łabo Słowiańska, co wodami swemi
Napawasz ziemie te przez lat tysiące, —
O, ty pamiętasz w téj Słowiańskiéj ziemi
Czyje popioły, czyje jęki drżące,
Płyną w poświstach wichrów, w lasów szumie,
Których Teutońskie ucho nierozumie.

O, ty pamiętasz dawne Leszków dzieje,
Gdy jedna wola łączyła w narodzie
Rozległych plemion walki i nadzieje,
A kniaź najwyższy w Gnieźnieńskim żył grodzie;
I stara Lechia jak matka rodzona,
Do serca wszystkie tuliła plemiona.

Łabo! ty pomnisz te pierwsze pacierze;
I jakie życie na téj ziemi wrzało,
Kiedy skrzydlaci Chrobrego rycerze,
Cesarstwu czoło swe stawiali śmiało;
A kładąc oręż na zwycięztwa szali,
Słupy żelazne zabijali w Sali.

Ach, i dziś słyszysz pośród świątyń jeszcze,
Gdy lud ubogi swoje wznosi pienia,
Że on w ojczystéj mowie głosi wieszcze
Nadzieje swoje w przyszłe odrodzenie.
Wasza to ziemia, o, Synowie Słowa,
Choć obce pany tu i obca mowa.

Gdzie Lacka Wisła, gdzie Czeska Wełtawa,
I gdzie Dunaju modre szumią tonie,
Słowiański bojan niech pośród nas stawa,
I pieśnią budzi miłość bratnią w łonie;
Serce do serca, bracia, dłoń do dłoni!
A żadna siła téj nie zwalczy broni.

Zbudźmy się ze snu — my cośmy szli przodem,
Dziś, mówią, życie wygasło nam w piersi;
Wszakże potężnym byliśmy narodem,
Groźni dla wrogów, w przyjaźni najszczersi;
I choć moc obca dziś w jarzmie nas trzyma,
Niech drży kto mówić śmie że nas już niéma.

Niech drży kto wyrzekł, że w dziejów kolei
Rydwanów naszych zakończona jazda,
Że wyzwolenia niéma już nadziei,
Że odrodzenia zagasła nam gwiazda,
Że innym torem pchnięte dzieje świata,
Że już Słowianin w bracie niezna brata.

Słowiańska Łabo! po szerokim świecie
Jak tylko płyniesz, dźwięków wspólnéj mowy
Z uczuciem słucha i starzec i dziecię. . . . .
Pomni przeszłości, dumnie wznoszą głowy,
I każdy czuje żywsze serca bicia . . . .
A wróg śmie twierdzić że w nas niema życia!

A wróg śmie twierdzić w rozkiełznanéj dumie
Że duchów naszych rozprzęgła się władza;
O, bo on w pysze swéj pojąć nie umie
Że przez boleści naród się odradza;
Że nieśmiertelne wszelkie dzieło Boże,
Że co Bóg stworzył zaginąć nie może.

A jak z Egipskiéj niewolniczéj spieki,
Wyszedł lud wolny na Boże wezwanie,
I wam się senne rozkleją powieki,
Złączonych plemion jeden naród stanie,
Ujrzą go znowu żywym w dziejach świata,
Z procą Dawida w obec Golijata. —

Ag. . . . . . B. . . . . . . .a.

DWA ŚLUBY.

Szkic
przez
PAULINĘ Z Ł. WILKOŃSKĄ.
(Ciąg dalszy.)

V.

„Wszędzie *ona!*“

Z poza rąbkowéj zastawki śledził Leon dom pod „*Błyszczącą Gwiazdą*“ — powiedział sobie, że to przez ciekawość, dla zupełnego braku zajęcia innego — a przecież zatrudnienie jakieś mieć potrzeba.

Pani Michalina siedziała z książką pod drzewami. Po za żywopłotem, ładnie przystrzyżonym, igrała nade drogą mała córeczka właścicielki domu pod *gwiazdą* — a wtém upadła i głośno płakać zaczęła. Michalina porwała się szybko, nadbiegła, dziecię podniosła, utuliła po macierzyńsku — i zaprowadziła je do swojego pokoju. Po chwili ukazała się znowu. Pocztowy wszedł do ogródka — pobiegła ku niemu i list z rąk jego odebrała. Zwolna wracając pod drzewa i przystawając niekiedy, odczytywała pismo odebrane z wyraźnem zajęciem. Tymczasem nadszedł Poraj — zwróciła się ku niemu i list podała — za co pocałował ją w rękę.

Leon od okna odskoczył — i rzucił się na kanapę.

Nie poleżał wszelako długo: porwał się i znowu do okna przystąpił. Pod drzewami już nikogo nie było. Ale właśnie zaszły dwie doróżki — a z pod gwiazdy ukazały się trzy panie w burnusach i kapeluszach; za niemi panowie w paltotach podróżnych, nadto i służący, niosący kuferek, który włożył do jednego z powozów.

Panie wsiadły do pierwszego — panowie w drugim miejsce zajęli. — Właśnie powrócił i Michał z wycieczki jakiéjś.

— Dokądże ta wyprawa z przeciwka? — zapytał go Leon, niby od niechcenia.

— Komelski jedzie do K. na spotkanie się z bratem, wracającym z *Hohenheim'u*, a panie odprowadzają go do kolei.

— I pan Poraj także — dodał Leon z pewnym przekąsem.

— Rozumie się.... Ale czy wiesz? jesteśmy zaproszeni do pani Rumowskiej na herbatę.

— Nic nie wiem.

— Zaprosiła mnie sama co tylko, a dała już poprzednio zlecenie Ignasiowi, by nas obydwóch zaprosił. Lecz Ignaś zakochany po uszy, i o Bożym zapomniał świecie. Wieczorek odbędzie się w *Kurhaus'ie*. Lecz otóż: o wilku mowa, wilk idzie! — zawołał, gdy pan Ignacy, zadyszany, z prześlicznym bukietem w ręku wszedł do pokoju.

Przybyły oświadczył zaproszenie na herbatę, i przyrzeczenie obydwóch otrzymał.

— A te panie z pod *gwiazdy błyszczącéj* — zapytał Michał.

— Pani Rumowska miała je zaprosić.

— I zaprosiła już?

— Nie wiem.

— A Poraj?

— Nie prezentowany.

— Te panie wyjechały co tylko, odprowadzając Komelskiego na kolej.

— To może i nie będą na wieczorze. Szkodaby było, pani Michalina jest dystyngowaną osobą, ślicznie gra, przecudnie śpiewa, że aż raduje się serce. Ale mam jeszcze niejedno do zrobienia, przeto *adieu!*

— Do zobaczenia!

Pod wieczór zebrało się liczne grono w Kurhaus'ie, na herbatę u pani Rumowskiéj.

Stół zastawiony piękną, malowaną porcelaną na bielutkiem nakryciu; złociste, wielkie wazony z przecudnemi kwiatami; ciasta, torty, cukry, owoce — przyrządzone u gospodarza puszki z lodami, pieczenie sarnie, ptaszki jakieś, komputy i kremy, — wszystko zapowiadało, że pani Rumowska gości swoich, nie *po kąpielowemu*, lecz po polsku chce przyjąć.

Nadeszły także panie Komelska i Michalina. Pierwsza w sukni z lekkiéj gazy, różowo-białéj, i z różyczkami przy pięknych warkoczach: druga w sukni lilla, w okrywce czarnéj koronkowéj z takiemiż kokardami, z bukiecikiem fiołków przy czarnym aksamicie na głowie. — Michalina nader powabną dziś była: mocniejszy rumieniec — znać wywołany przejażdżką — krasił jéj lica, i ciemne oczy większym świeciły blaskiem.

Leon niby lekko zapłonął, gdy weszły — tak przynajmniéj zdawało się Michałowi — lecz może się omylił.

— A ciocia dobrodziejka? — zapytała skwapliwie uprzejma gospodyni — niełaskawa na mnie.

— Wybacz pani — odrzekła pani Stefanija — ale ciocia wcześnie pragnie spoczynku: znużyła ją przejażdżka nasza, a wystrzega się także wieczornego powietrza.

— To jéj smutno będzie saméj — ozwała się panna Nina.

— Pan Poraj ułożył partyą *wisth'a* z dwoma dziadkami — odrzekła Michalina.

Leon niby niechętnie zadrgnął — a Adam zcicha rzucił:

— Zawsze ten Poraj!

Wykwintna odbyła się wieczerza, z któréj więcéj aniżeli połowa ze stołu zeszła. Rozpoczęły się gry towarzyskie: myszka i kotek — łapki — i mruczek.

Pierwsza wszelako nie dość miała przestrzeni; druga dała powód jednéj z panien, że się na pewnego kawalera pogniewała; do trzeciéj nakoniec wciągniono i panią Michalinę, która dotąd z poważniejszemi paniami w przyległym salonie bawiła.

Pan Leon dostał się w koło — i szczelnie zawiązano mu oczy. Traf zrządził że najpierwéj przed panią Michaliną zastukał: lica jéj purpurowy oblał rumieniec, i przycichém odpowiedziała mruknięciem.

— To......! — i nagle urwał: poznał głosik od razu, ale... jakiegoż wyrazu, jakiegoż imienia miał użyć? — To panna Nina — wymówił wreszcie.

— Nie! nie! — zawołano, i koło okrążyło go na nowo.

Po chwili pani Michalina usunęła się z grona grających.

Gry skończyły się niezadługo — i proszono, by pani Michalina zaśpiewać raczyła. Wymówiła się jednakże stanowczo: że jest znużoną; a proszona raz drugi, zagrała jakąś fantazyą z swojskich złożoną nut i piosenek: dźwięczny i pełen swobody krakowiak, ochoczy mazur, poważny taniec polski, dziarski kujawiak, cudne sielskie piosenki, rzewne dum-

ki, plotły się w dziwnie harmonijnym spływie — który zazakończył do duszy wnikający hymn uroczysty.

Panie przydążyły, by uścisnąć tę, która potrafiła muzyką swoją tak wtargnąć w ich uczucie — a panowie głęboki złożyli jéj ukłon.

Leon w tym czasie siedział w najciemniejszym zakątku salonu.

— Czyliż dawniéj gra jéj nie zajmowała cię także? — zapytał go Adam.

— Nie zważałem na nic — odrzekł stłumionym głosem — nie zważałem na nią.... nie widziałem nic!

Adam nieznacznie ramionami ruszył.

Gdy zebranie według reguł u wód przepisanych, rozchodziło się po godzinie dziesiątéj, — podał Adam rękę pani Michalinie a Michał jéj siostrze. Leon towarzyszył im milczący.

Życie u wód jest bardzo ruchliwém, i dzień każdy mnóstwo drobnych nastręcza czynności — zawsze wszelako obok miłego *farniente*. I w K. był taki sam tryb.

Zacne rodaczki nasze wyśledziły ubogiego współrodaka, przysłanego na kuracyą, bez potrzebnych do utrzymania zasobów — i postanowiły z pomocą dłoni przydążyć. Pani Rumowska zrobiła wniosek, urządzenia loteryi na jego korzyść — a pani Michalina ofiarowała piękną poduszkę haftowaną krzyżową robotą, — i zebrano się w tym celu w *Kurhaus'ie*.

Pan Leon przystąpił pierwszy i prosił o dziesięć biletów. Stojąca przy stole Michalina drżącą mu je podała ręką — a byli oboje jakoś dziwnie pomieszani.

Po rozprzedaniu biletów, wrzucono numera w dużą wazę i nakryto ją. Poczém pani Rumowska wprowadziła śliczną, czteroletnią, polską dzieweczkę, która wyrocznim geniuszem być miała.

Dziécię przystąpiło z uśmiechem, spojrzało na siedzącą opodal mamę, potem na panią Rumowską, i sięgnęło śmiało pod pokrywę, którą zlekka uchylił pan Adam.

— 45 numer! — zawołał, i spojrzał na około.

— Któż ma numer 45? — powtórzyła za nim pani Rumowska.

— Ja! — wymówił Leon, z zadumki ockniony, przysunął się i bilet na stole położył.

— Wygrałeś pan!

— Wygrałeś, szczęśliwy śmiertelniku! — dorzucił Adam.

Leon zapłonął — i jakiś niby odcień chwilowego rozrzewnienia powiał na jego lica — ale i to może zdawało się tylko Adamowi. Że zaś pani Michalina zlekka pobladła i nagle czoło pochyliła, kilka zauważyło osób — a nikt bynajmniéj nie dziwił się temu.

Rodakowi biednemu ładna wpłynęła sumka — a towarzystwo pozostało się razem przez wieczór, i znowu gry różne i gawędka przyjemnie kilka zapełniły godzin.

Leon, Michał i Adam razem wyszli z *Kurhaus'u*. Pierwszy sam poniósł swoję wygraną, a gdy stanęli w mieszkaniu pod *złotą koroną*, owinął ją czystém płótnem i do walizy schował. Przyjaciele widzieli to z drugiego pokoju, i Adam już miał coś wyrzec, gdy mu znak dał Michał, ażeby zamilkł.

— Nie drażnij i tak już podrażnionego do zbytku uczucia — poszepnął mu znacząco.

— Chciałem pożartować, boć naprawdę, stosunek ten jest dziwny, że chyba nic podobnego jeszcze nie było.

— Wszystko już było!.... Oszczędzajmy go: widzę że cierpi. Drobne to wszystko niby na pozór, ale kto patrzy uważniéj, zajrzy i głębiéj. Oj! oj! Umieć właściwą ująć chwilę, powtarzam zawsze, gdy chodzi o coś stanowczego, to naprawdę zowie się szczęściem.

— A jakżeż *ona?* — zapytał Adam z cicha.

— Widzę, że i ona cierpi.

— A Poraj?

— Nie rozumiem... ale....

Nadszedł Leon — i Michał nagle urwał.

Panowie młodzi urządzili składkowy wieczór w *Kurhaus'ie* — do czego głównie pan Ignacy dał pochop: panny Rumowskie życzyły sobie potańczyć. I kogożby to dziwiło, że dziewczęta młode, zdrowe, ładne, żadnéj jeszcze nieświadome troski, zapragnęły téj tak właściwéj dla młodzieży zabawy? Niechajże sobie korzystają z wiosennéj chwili życia, — zanim nadejdą skwary lata — słoty jesienne — i mroźna zima.

Stosownie przeto do tego balikowego zamiaru, pan Adam z panem Ignacym wszędzie wizyty poodawali, zapraszając panie *na wieczorek*. I nikt się nie wyłamał, by nie popsuć zabawy i tak już niewielkiego kółka.

O godzinie ósméj — według programu — zebrali się téż wszyscy w suto oświetlonéj sali. A na chórku raz po raz odzywały się dźwięki różnych instrumentów muzycznych.

Gdy wszedł Leon, pierwszym przedmiotem który wzrok jego zajął, była Michalina. Stała z dwiema paniami rozmową zajęta, trzymając za rękę pannę Ninę Rumowską — przystrojoną w różowe kwiecie, w powiewnéj, przejrzystéj, leciuchnéj śnieżno-białéj sukience, balowego kroju: wyciętéj koło szyi i z rękawkami krótkiemi. To też tém poważniéj przy niéj wyglądała pani Michalina; jéj suknia z materyi perłowego koloru, długa, szeroka, gładka, opływająca składną postać, wysoko zachodziła pod szyję; stanik i rękawy miała przybrane czarną koronką i kokardami z aksamitu czarnego — takąż szarfę i naramniki; na włosy uczesane ślicznie, włożyła wieniec ze *skabiozów*, ciemny, nieomal czarny, niby drobniuchnemi perłami posiany.

Wtém przyskoczyła do niéj Stefanija, wzięła ją pod rękę, odciągnęła nieco — i coś jéj tam gorliwie przekładać poczęła. Michalina uśmiechnęła się, skinęła głową — i Stefanija odbiegła znowu.

Zadźwiękły tony *kontredansa* na *motywa* z *Normy* — którym tańce rozpocząć postanowiono, bo taniec polski większéj wymaga powagi, a to mały tylko był *wieczorek*. Pan Adam stanął z panią Komelską. Gdy, ot, wysunął się Poraj, przystąpił z półukłonem do Michaliny, — podała mu rękę — i naprzeciw tamtéj stanęli pary.

Leon pobladł i dolną przygryzł wargę, jak to wyraźnie dostrzegł Michał.

— Ty nie tańczysz? — zapytał go siadając obok.

Ani myślę.

Kontredans się ruszył. Michał uważał, że przyjaciel jego tylko panią Michalinę śledzi — ale bo też z niezwyczajnym poruszała się wdziękiem — z gracyą nieporównaną.

— Pani Michalina niby płynie tylko: mknie z lekka, jakby eteryczne widzenie — wymówił — bez najlżejszego poruszenia skocznego. Otóż tak rozumiem ten taniec.

Leon milczał — patrzał chmurno i pokręcał wąsa.

Po piątéj figurze ustąpiły pary: nie tańczono szóstéj.

Skoczna nastąpiła polka — a potém ochoczy, zamaszysty mazur.

— Nieprawdaż, że doskonały mazur? — wymówił Adam przechodząc obok Leona — miałem nuty z sobą i pouczyłem go dziś muzykantów.

Przystąpił do pani Michaliny — znać ją prosił do tańca — podziękowała mu z uśmiechem. Adam nalegał, jako też i siedząca obok Nina — ale wymówiła się.

Leon aż niby wolniéj odetchnął.

Adam stanął w parze z panną Kamillą Rumowską, gdy Ignaś rękę bogdanki swojéj pochwycił. Michał w pierwszą parę poprosił panią Stefaniją — i mazur szedł ochoczo — wesoło — raźno — jak gdyby smucić nie było się czemu. — I dla czegożby dziarsko nie wywinąć hołubca, gdy po temu zdarza się pora? — „Cośmy wesoło przeżyli życia jest ozdobą!“ — Do różańca — do szabli — i do tańca — do wszystkiego właściwa znajdzie się pora.

Po mazurze wydaliła się pani Michalina z jedną z pań poważniejszych — a z niemi i pan Poraj. Spostrzegł to Leon — pokraśniał — i wybiegł także. Widział jak szli pod *Błyszczącą Gwiazdę* — a sam do siebie pod *złotą koronę* powrócił. Pojedyńcze dźwięki muzyki dolatywały go dość długo z *Kurhaus'u* — i też Michał zastał go czuwającego jeszcze.

Dnia drugiego, około południa, przyszedł do nich Ignacy dźwigając wielkie *album* panny Niny, oprawne w aksamit amarantowy z ozdobami złotemi.

— Mam się zapisać — wymówił zadowolony, kładąc je na stole — i wy także, na pamiątkę chwil miłych, spędzonych tutaj pospołu. Patrzcie! śliczne tu rysunki, poezye, napisy. Są pomiędzy niemi i *autografy* kilku poetów naszych i znamienitych pisarzy — i począł kartki rozkładać.

Wśród innych zajął Leona szczególniéj obrazek: szkic, w lekkich zarysach tuszem na papier rzucony — co Francuzi nazywają *ebauché*. Przedstawiał postać niewieścią wspartą o skałę, po któréj spadał potok, unosząc wieniec kwiatów z sobą; obok sterczała młoda drzewinka nawpół, niby wartkim złamana prądem.

Leon potrzymał kartkę nieco w oddaleniu, i wzrokiem sięgającym myśli ukrytéj badał.

— To pani Michalina narysowała — zawołał Ignacy — wyprosiła sobie panna Nina ten obrazek, przeglądając jéj tekę z rysunkami, a ładne ma rzeczy.

Jakiś szczególny wyraz wybił się na licu Leona — jak gdyby był chciał zawołać: *Wszędzie ona!* — i ręka jego, trzymająca kartę, nieco zadrgnęła: teraz zrozumiał aż nadto dobrze myśl, która stworzyła obraz. W milczeniu odłożył go na stół — powstał — przeszedł się — i przy oknie stanął.

Pan Ignacy tymczasem inne pamiątki z *albumu* panny Niny pokazywał i wychwalał.

Michał, który śledził troskliwie każdą przemianę na twarzy przyjaciela, który w rysach jego czytać umiał, — coraz więcéj niepokoił się tym całym stosunkiem Leona — i nieraz sobie pomyślał: „Co też to z tego będzie?“ — Począł sobie nawet już czynić wyrzuty, że go w K. zatrzymał, że go zbliżył do Państwa Komelskich i że usiłował wygładzić i złagodzić to wszystko, co stało się dawniéj. Mianowicie zaległ mu klin w głowie wieczorem, przy wieczerzy w *Kurhaus'ie*, gdy nadszedł Poraj — co jemu nader zdarzało się rzadko — i w oku Leona wyraźnie jakieś nienawistne zdybał płomyki.

Poraj — zdawało się, że nic nie miarkuje: był to sobie człowiek nader łagodnego i spokojnego usposobienia. Leon zachowywał się w granicach grzeczności — jak to przystoi na człowieka wychowania i z towarzystwa dobrego, — lecz wszelako niemal wszyscy dostrzegli w nim zimno rażące i cierpkość pewną, gdy Porajowi, w ciągu ogólnej odpowiadał rozmowy.

Komelski powrócił w dni kilka po wieczorku składkowym — i przyszedł z młodszym bratem swoim, Bolesławem, do *Kurhaus'u* na wieczerzę. Dwudziestoletni Boleś, pełen życia, swobody, umysłu żywego, szczery serdeczny — istny młodzian polski, od razu zjednał sobie młodych współrodaków.

Gawędka raźna toczyła się swobodnie.

— Bawiłeś się długo — odezwał się Michał do starszego Komelskiego.

— *Zahaczyliśmy* się po drodze — odrzekł Bolesław za brata.

— A nie biorąc kuracyi, to i nie miałem spieszyć się po co — dorzucił drugi.

— Czy Poraj nie przyjdzie na kolacyą? — zapytał Bolesław, przysuwając talerz ze *sznyclami*.

— Poraj zwykle nie wieczerza: został z paniami.

— Ah! — zawołał Boleś ze śmiechem — wypada mi zabawną rzecz ci opowiedzieć, która przypomniała mi się teraz dopiero. Przy *table d'hôte* w O. spotkałem się z jakąś panią, Polką, która była z wami tutaj przez tydzień. Zapytywałem ją o goszczących w K. z Polski; wymieniała mi wszystkich z kolei, przeto i was także — a nie wiedziała ile mnie obchodzicie. Powoli rozgadała zię, i opowiadała mi pomiędzy nowinkami innemi, że pan Poraj przybył tu za panią Michaliną — i że podobno jest jéj narzeczonym.

— Co ty gadasz? zawołał Władysław Komelski. — Jakież to *absurda!* I cóżeś odpowiedział.

— Że pan Poraj od lat trzech jest już najszczęśliwszym pod słońcem małżonkiem. Z początku brała mnie niby ochota



Kamień przy Belnie w powiecie świeckim.
Zabytek z czasów starosłowiańskich. Widok od strony wschodniéj.

mistyfikować ją jeszcze, lecz przeważyły względy dla pani Michaliny.

Michał spojrzał na Leona, siedzącego naprzeciw: zajadał jakiś *eierkuchen*, na pozór niczem niby niezainteresowany — mocniejszy wszelako na twarzy rumieniec był nader mówiącym dla oka przyjaciela.

— Więc Poraj jest żonaty? — zapytał, widząc ile tém Leonowi dogodzi.

— Z siostrą cioteczną żony mojéj — odrzekł starszy Komelski.

— Śliczna kobietka — dodał młodszy — którą poczciwy Poraj szalenie kocha.

— Nie mogła mu do wód towarzyszyć, mając parotygodniowe dziécię — mówił daléj brat starszy — ale co trzeci dzień pisze do męża, i od niego również częste odbiera listy.

— Ubawi się, gdy mu ploteczkę powtórzę — zaśmiał się znowu Bolesław.

— Tylko niech pani Michalina o tém nie wie — ozwał się półgłosem Władysław.

— Uchowaj Boże! Nigdy! Przecież wiem! — i Bolesław o czemś inném mówić począł.

Nazajutrz, na rannéj promenadzie, chodzili z sobą — czego dotąd nie bywało nigdy — Leon i Poraj. A musieli jakoś porozumieć się szczególniéj, i zgadzać się jak najzupełniéj w sposobie widzenia i myślenia, — bo odtąd bardzo wiele z sobą przestawali — i po kilka godzin nieraz siadywali u siebie nawzajem.

Michał uśmiechał się na to, zadowolony, że już nie potrzebuje lękać się pomiędzy nimi pojedynku.

(Dokończenie nastąpi.)

Powitanie wiosny na Ukrainie.

W 43 nr. „Lecha" przedstawia nam rycina na 431 str. rusińskiego chłopca i dziewczę pod krzyżem. Rozpalili sobie ogień, gdyż powietrze zimne i niepewne. Jednakże dziś pierwszy raz może zajaśniało słońce wiosenne. Wierzba w pobliżu puszcza już listki, wiosna ożywia step ukraiński. To też pastuszek dobywa piszczałki, aby rzewną dumką powitać zbliżającą się wiosnę. Nie jest sam — słucha go z wielką uwagą dziewczynka. Pastuszek nic nie widzi — gdyż zatopiony cały w tęsknych melodyach, które z piszczałki wydobywa. Ta samotna w pobliżu wierzba, matka zapewne piszczałki, niewątpliwie pozostaje w związku z małym pasterzem — a może i on samotny w świecie — sierota, jak ta wierzba w stepie.

Ten skromny obrazek jest sam niejako dumką ukraińską. Biedni Rusini! — ileż wycierpieli, ileż klęsk srogich ponosili! Uciskali ich Tatarzy, Moskale, niestety! i Polacy nie są bez winy. Ukrainiec wśród tych pocisków losu szukał pociechy w pieśni; i dla tego to dumy ukraińskie takie rzewne, smutne, tęskne, cudne — gdyż w nich odzwierciedla się cała przeszłość ludu rusińskiego. I kiedyż wzejdzie słońce wolności dla Rusi-Ukrainy? Kiedy? Oto wtedy, gdy zapomnimy uraz, gdy podamy rękę Braciom Rusinom, gdy spełnimy ich słuszne życzenia. Chcą-li Rusini być samodzielnym narodem — to podajmy im rękę i pomóżmy im krzepić narodowość rusińską, zamiast krzywém okiem spoglądać na ich wytrwałe zabiegi i usiłowania. Tymczasem część pewna naszych rodaków powtarza: Rusin rodem, narodem Polak, a zatem Rusini są Polacy i basta, a większa część nic nie myśli, lecz *in dulci jubilo* czeka zmiłowania Francyi, Anglii, choćby i Turcyi, a nie może się zdobyć na to, aby się wziąść rączo do dzieła, zawrzeć mir i braterstwo z drużyną słowiańską, i pracować spólnemi siłami nad szczęśliwszą przyszłością. Ale gdzież to zabiegły myśli moje? Ta skromna sielanka, ten step ukraiński mimowoli zwraca uwagę naszą na tory przyszłości.

KAMIEŃ
przy Belnie
w powiecie świeckim.



Kamień przy Belnie w powiecie świeckim.
Widok od strony zachodniéj.

W powiecie świeckim w Prusach Zachodnich znajduje się potężny kamień 8 stóp wysoki, a na 29 kroków szeroki. Leży ta potężna granitowa masa w rządowym lesie we wrębie Grodek, gdzie dawniéj stał gród warowny, niedaleko włości E. Parczewskiego Belna na małym pagórku, w oddaleniu 1600 kroków od Czarnéj Wody, pobocznéj rzeki Wisły, a pół mili od dworca kolejowego Laskowice.

Podług wszelkiego prawdopodobieństwa służył ten granit do sprawowania ofiar starosłowiańskim bożyszczom. Na ten domysł naprowadza forma kostkowa kamienia, która się najwyraźniéj na wschód i północ przedstawia. Sądzić można, że ręka ludzka dokonała tego obrobienia. Od zachodniéj strony znajdują się jakoby stopnie, za pomocą których można wnijść na wierzchołek kamienia, którego powierzchnia, ośm stóp kwadratowych licząca, zawiera wyżłobienia, naprowadzające na domysł, że tu składano ofiary czyli objaty bogom słowiańskim. Naokół granitu znajduje się w odległości 3 do 4 stóp dość foremne koło, utworzone z małych kamieni.

Wiadomość o tym ciekawym zabytku i rycinę czerpiemy z szacownego dzieła R. Wegnera, dziś prezesa rejencyjnego w Poznaniu, który o ile wiemy, pierwszy postawił twierdzenie, że to zapewne jest starosłowiański kamień ofiarny — w każdym razie jestto sędziwy i szacowny zabytek zamierzchłéj przeszłości. Był jeszcze taki drugi kamień, ale użyto go na walec kamienny do żwirówki. I ten w mowie będący miał doczekać się podobnego losu, gdyż już nawet kawał odłamano, jednakże szczęśliwym trafem się dochował, a nie ma obawy, aby go zniszczono, gdyż nadleśniczy rządowych lasów w Osiu ma zleconą opiekę nad tym granitem. Lud zowie go kamieniem czartowskim,

Ktoby chciał zwiedzić tę widzenia godną pamiątkę, ten niech z Laskowic uda się do kolonii Kunksice, a tam w gościńcu wskażą dokładnie drogę do tego olbrzymiego kamienia.

Pamiętnik Księżnéj G.

z roku 1830 i 31.

Z archiwum Muzeum narodowego w Rapperswyl uporządkował i wydaje H. W.

(Ciąg dalszy).

Za przybyciem mojem do Wrocławia, dziwnego sposobu obchodzenia się z Polakami doświadczyłam od policyi pruskiéj. Przysłała mi na piśmie zapytania, między któremi ważniejsze były: Dla czego jadę do Drezna? Czy mam tam kogo znajomego? Czém mój mąż był u Rządu przeszłego i czem się dziś trudni? Rozgniewana o to samowładne traktowanie Obywatelki Polski, nad którą nikt na świecie prawa mieć nie był powinien, a tak sobie niewłaściwie je przywłaszczał rząd pruski z pogardliwego przekonania o jéj słabości wypływającego, pobiegłam osobiście odpowiedzieć, by się rychléj wydrzeć ze szponów, które tak długo trzymały Platera, Szyrmę i innych. Że jednak szło mnie o najrychlejsze przewiezienie powierzonych mi papierów, przytłumiłam w sobie wyraz cierpkości uczuć, któremi serce się ścisnęło i odpowiedziałam, że jadę do Drezna, bo mam tam stancyę najętą; znam przy dworze bawiącego P. Tödwena, a z mężem moim nie żyjąc nie mieszam się wcale, czem on był — a czem jest. Prosiłam przeto o oddanie mi paszportu, chcąc natychmiast daléj jechać. Kontentowano się tą szyderską odpowiedzią, zabrano mi mój polski paszport, a wydano mi nowy pruski, z którym natychmiast, przepędziwszy cztéry godziny we Wrocławiu, w dalszą udałam się podróż.

Podziwienie moje było wielkie, kiedy w miarę zbliżania do Drezna, zwiększała się ilość śniegów, zupełnie oddawna znikłych około Warszawy, gdzie 20 Lutego przyjeżdżałam pod promieniami ciepłego już słońca, zupełnie suchą drogą, nad którą unosiła się kurzawa.

Przybywszy do Drezna, natychmiast odesłałam, powierzoną mi pakę do Anglii, poczem starałam się tak urządzić, żeby jak najmniéj wydawać, na niewiadomy przeciąg czasu przyjechawszy. Ciągle miałam tak utłoczone serce, jak gdybym, albo wielkiego doświadczała nieszczęścia, albo też takowe przeczuwała, a myśl o tem jeszcze mnie mocniéj w cierpienie pogrążała. Istotne, pierwsze przyczyny do tego były: oddalenie się z kraju w chwili tak niepewnych losów jego, kiedy uważałam za najsilniejszą powinność dla każdego w jakikolwiek sposób mu służyć i być użytecznym, chociażby już tylko w opatrywaniu rannych i chorych po szpitalach; też sama niepewność przyszłości Ojczyzny, powiększona głuchem milczeniem innych rządów, które nadzieje nasze tak uzasadnione, w czcze przemieniły złudzenia. Nareszcie, próżność dotknięta, w téj paraleli, co do położenia mego mogącego być z powierzchowności porównaném z Pani Strzyżowskiéj położeniem, ja cobym tak we wszystkiem od niéj różną być chciała.

Pani Strzyżowska nadęta wszystkiemi próżnościami, do których wielkiéj części los jéj zamknął prostą drogę, czepia się więc ich przez różne sposoby, zwłaszcza, gdy jéj te familijne stosunki podają.

Zaczęła przeto nakłaniać mię w Dreźnie, żebym u jéj siostry Sobańskiéj z wizytą była; do czego równie usposobienie moje chwilowe, jak wrodzona niechęć do robienia nowych znajomości, zupełnie mnie niesposobną czyniły. Próżność Strzyżowskiéj uważała w mojem opóźnieniu uchybienie powinności należnéj jéj siostrze, jako od Polki przybyłéj ostatniéj, jako od osoby połączonéj z nią, (Strzyżowską) stosunkami towarzyskiemi, jako nareszcie potrzebującéj dać mnie wysokie wyobrażenie o swoim rodzie, że tak rzekę — zaimponować mnie. Skutkiem czego przedstawiła mi, że książę Chartres, na teraz książę Orleanu, syn świéżo wezwany na tron Filipa-Ludwika, kocha się w jéj siostrze. Że Sewerynka (imię Sobańskiéj) od 1széj do 3ciéj przyjmuje codzień *czoło dyplomatyczne, ministrów*, i wymaga od niéj, żeby w te godziny przytomną była u niéj, opowiadała których widywała, jacy wczoraj byli, o czem się toczyła rozmowa, kogo spodziewała się następnie. Wszystko to mówiła, z przyjęcia własnéj wyższości i przytłumionéj ztąd radości, która mimowolnie na twarz wyskakiwała i tak szyderczy wyraz malowała. Im bardziéj *Emma*, rozszerzała obłęk tych świetności błyszczących, tym sprzeczniejsze zamiarowi swojemu sprawiła we mnie wrażenie, i tym bardziéj naglącą stawała się. — Ustępując nareszcie natrętności, przyrzekłam, ze będę u P. Sob. „Ale trzeba, żebyś mnie wcześnie powiedziała, żebym mogła zapytać się o godzinę Sewerynki, bo ona nie w każdéj przyjmuje.“ — „Dobrze, dobrze,“ — odpowiedziałam na te charakterystyczne i odstręczające zastrzeżenie.

Nareszcie dnia jednego, po *wziętéj godzinie*, która się przypadkiem znalazła godziną *ciała dyplomatycznego*, udałam się według żądania Pani Emmy pod jéj skrzydłami do Pani Sobańskiéj, o któréj słabą powzięłam była opinią z tych wykwintnych a tak czczych w moich oczach obrazów. Wizyta moja nie była długą, *Ministrów* nie zastałam, ani ich zjawienia się czekałam, ale w przyjęciu znalazłam Panią Sob. bardzo grzeczną i ujmującą. Nazajutrz rano oddała mi wizytę. Po kilku dniach wypadało, żeby i moja matka, z którą ja mieszkam nierozdzielnie, u niéj była; zaprowadziłam ją tam w godzinę ministrów. Z wielką uprzejmością nas przyjęto. Wieczorem spotkaliśmy Panią Emmę na ulicy, mówiła nieco z podziwieniem, żeśmy u jéj siostry były, ale dodała: — „Księżna jéj się *bardzo podobała*.“ — „Tąż samą poszczycić się może przyjemnością — odpowiedziałam, bo i ona mojéj matce równie jak mnie, *bardzo się podobała*.“

(Ciąg dalszy nastąpi).

Powiastka o Wietrze.

Napisała dla młodzieży Eliszka Krasnohorska.

(Ciąg dalszy).

I nie czekając na jego przyrzeczenie, pocałowała go i wiodła go daléj za rękę. Szli długo, długo łąkami i byli już blizko gór, gdy mrok zaczął zapadać. Potem mgła ich otoczyła, że ani na krok przed sobą nic nie widzieli, a wiatr ucichnął zupełnie. Witek się zaczął lękać, gdyż przed nimi huczało — a nie był

to wiatr, lecz zapewne bystra rzeka tak szumiała. Łatwo do niéj wpaść mogli, gdyż szli jak niewidomi. Witek drżał na całem ciele, serce biło mu głośno, a naraz taki go strach ogarnął, że już chciał uciekać, i pewnie byłby niezawodnie sie puścił z powrotem, gdyby w blizkości nie odezwał się dźwięk w pobliżu, jak gdyby kosa trawę kosiła. „Są tu ludzie?“ zawołała Dorotka, a Witek zaraz przystanął, nastroił minę zuchowatą i krzyknął: „Hej jest tam kto?“

Usłyszeli potem brzęk kosy a niedługo odezwał się głos chrapliwy: „Tylko bliżéj, bliżéj!“

Dorotka wzięła odważnie Witka za rękę, tak że chcąc nie chcąc iść musiał, choć gęsta mgła była naokół. Brzęk kosy niknął gdzieś w dali, a na wołanie nikt nie odpowiadał. Naraz uczuły dzieci, że weszły we wodę.

„O niegodziwy wiatr, gdzie nas to zapędził!“ zaczął znowu Witek wyrzekać. Dorotka natomiast zdjęła z głowy chustkę, uchwyciła za koniec i rzekła: „Dobry wietrzyku, zawiéj raz jeszcze i ukaż nam prawdziwą drogę!“

I oto wiatr zawiał, chustka wionęła, a Dosia szła z nią wesoło. Niedługo wyszli z wody, a gdy wiatr rozwiał mgłę, i księżyc zaświecił na niebie, zobaczyli ścieżkę. Wkrótce przyszli nad brzég wielkiéj rzéki, za którą się wznosiły wysokie szare góry. Na rzéce nie było widać ani łódki, ani mostu, ani człowieka. Dorotka nic się nie bała, tylko szła daléj nad rzéką, aż niedługo ujrzała łódkę, a niedaleko siedziała na kamieniu staruszka, mając obok siebie kosę i snopek trawy. Jéj odzież i włosy były wiatrem potargane, trzęsła się od starości i zimna, ale oczy miała bystre. „Dobry wieczór, dzieci, a gdzież to tak późno, gdzie?“, zawołała.

„Jesteśmy w dalekiéj podróży,“ odpowiedziała Dorotka, „szukamy ojca, który ma setkami synów a mimo to żadnego, gdyż chcemy do niego wstąpić w służbę. Czybyście, babuniu, nie mogli nam pokazać drogi ku niemu?“

„Mogę, mogę,“ odrzekła, „znam dobrze drogę. Najprzód przeprawicie się przez rzékę, potem wciąż naprzeciw wiatru, a na wieczór dopytacie się daléj.“ Potem zaczęła odwięzywać łódkę. Dorotka podjęła snopek trawy i położyła na łodzi, a potem prosiła, aby jéj wolno było z Witkiem wsiąść do łódki. Babinka pozwoliła, dała każdemu wiosło, a potem weszli samotrzeć do łodzi. Z początku było dobrze, ale niedługo zaczęła się staruszka kurczyć od zimna, a ile razy ręką machnęła, wnet budził się wiatr, który burzył wodę. Gdy dzieci trochę naprzód dowiosłowały, wnet wiatr ich spędzał napowrót. Bałwany biły tak silnie, jakoby chciały łódź pochłonąć. Nalało się i wody wiele do łódki. Wtedy Witek ze strachu rzucił wiosło i zaczął wylewać wodę kapeluszem. Dorotka wzięła obydwa wiosła i zaczęła tak silnie i zręcznie wiosłować, że doprowadziła szczęśliwie łódkę na brzég przeciwny.

Tu ujrzeli chałupkę, która miała drzwi zupełnie popsute, zamiast okien były dziury, strzecha była przywiązana powrozem, a komin podparty belką.

„Nuże dzieci,“ rzekła babulka, „jeżeli nie macie gdzie przenocować, zostańcie u mnie do rana; chętnie dam wam nocleg jeżeli mi nasypiecie pierzynę; dziś przez cały dzień wiatr mi piérze zabiera, a ja biedna staruszka drżę od zimna.“

„Chętnie nasypiemy i jeszcze podziękujemy, tylko pozwólcie, abym się przespali,“ odpowie Dorotka, a wnet zamknąwszy drzwi na kołek zaczęła sypać piérze z dziurawego miecha w dziurawą pierzynę. Witek trzymał pierzynę, ale dziwna rzecz, jemu zdawało się, że staruszka umyślnie piérze rozpędza, bo niechno rękami machnęła i dmuchnęła, wnet piérze latało po całéj izbie. Dorotka siedm razy je zbierała. W końcu sprzykrzyło się to Witkowi, rzucił więc pierzynę na ziemię, spojrzał gniewnie na babinkę, zjadł kawałek chleba i usnął na swym węzełku. Dosia nie naśladowała jego przykładu, lecz wzięła igłę z nitką i zaszyła pierzynę. Potem powiedziała staruszce dobra noc, zmówiła paciérz, pomodliła się za ojca i dopiero spać się położyła.

Gdy rychło rano się dzieci obudziły, już nie było chałupki. — zniknęła, jakby ją wiatr zmiótł, a oni leżeli na piasku przy wodzie, w któréj wesoło pływały rybki, chwytając chciwie okruszyny chleba, które z Witka spadały, gdy wstawał. Kilka tylko piórek świadczyło o wczorajszém zdarzeniu, zresztą zdawało się, jakby to we śnie się stało.

Wnet opuściły dzieci to miejsce, które zdawało im się, że jest zaczarowane. Pomodliły się, zjadły śniadanie i szły ku górom dalekim, zkąd wiatr im wiał w oczy.

Droga, którą postępowali, była kamienista i przykra, to téż każdy niemal krok im dolegał — i nie dziw wszak już trzeci dzień byli w podróży. Dorotka czuła, że niejeden ostry kamień do krwi ją zranił, nic jednak nie mówiła; czuł to i Witek, dla tego płakał na potęgę. Tak błądziły dzieci pomiędzy górami, gdyż wiatr dziś to z téj to z owéj wiał strony, czasem nawet kołem się toczył, a że trzeba było wciąż iść naprzeciw wiatru, to zaszli w końcu między dzikie i ponure skały, zkąd zdawało się, że już nigdy nie wyjdą. Nad niemi krakały posępnie kruki, u stóp ich czasem potoczył się z łoskotem w przepaść kamień, a zresztą nie było nic żywego.

W samo południe przyszli na wierzchołek, gdzie nie było ani drzéwka, ani wody, tylko nagie kamienie i trochę ostu. Tu usiedli na skale, aby się posilić. Chlebek był już twardy jak kamień; Witek spragniony ledwie go mógł połykać. Zaczął tedy płakać i wyrzekać. „Ach Dosiu,“ prawił, „dlaczegośmy się w tę podróż udali? Tu śmierć nas czeka. Ten bogaty pan, który nam dopomógł przed laty, nie potrzebuje naszych usług.“

Dosia także zapłakała, ale nie z głodu lub z pragnienia, lecz ze żałości, że Witek tak niewdzięcznie myśli. „Nasz ojciec był także dawniéj bogatym, a jednak podupadł, że byłby zginął, gdyby nie ów dobroczyńca. Może i ten pan podupadł, zatem trzeba mu się odwdzięczyć,“ odpowie siostra.

Witek milczał, ale wnet wybuchnął jeszcze z większym płaczem: „Jeżeli podupadł, to jakaż będzie u niego służba? Może tylko chléb suchy i twardy jadać

będziemy i na gołéj ziemi sypiać i kto wie: kiedy téj biedzie będzie koniec?“

Rzecze siostra: „Spokojnie sypiać będziemy na twardéj ziemi i jeść chléb suchy, bo będziemy mieli czyste sumienie.“ Witek nie chciał, czy nie mógł zrozumieć téj pociechy, tylko się smutnie oglądał, że tu nie ma jagód, ani miodu, ani nic innego, ani nawet kropelki wody, aby polepszyć suchy objad.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ODEZWA w sprawie książki jubileuszowéj

dla J. I. Kraszewskiego.

Myśl uroczystego obchodu pięćdziesięcioletniéj rocznicy działalności literackiéj J. I. Kraszewskiego podniesiona przed rokiem poruszyła wszystkie umysły i serca, jak daleko dźwięk polskiéj rozbrzmiewa mowy. W stolicy Wielkopolski zarówno jak w starym królewskim grodzie podwawelskim, w serdecznem ognisku Polski w Warszawie i w czerwono-ruskiéj Daniela stolicy, myśl ta przyjęta została z zapałem, a i miasta prowincyonalne oświadczyły gotowość złożenia w dniu tym uroczystym czci swojéj, ofiarując jubilatowi to, „czem chata bogata.“

A każdy, od największego aż do maluczkich, niesie ten dar serdeczny. Literaci, przemysłowcy, malarze, muzycy i inni artyści składają się na ten wawrzyn, który ma ozdobić czoło jenialnego pisarza, gorącego patryoty, wielkiego człowieka. Dzień 19. marca 1879 r. będzie dniem świątecznym dla całéj Polski, bo w dniu tym odda ona cześć mistrzowi pióra i bojownikowi najwznioślejszych idei. Woń kadzidła, które żarzyć się będzie dla uczczenia jubilata, rozniesie w dalekie strony sławę Polski. Wywiesi ona tym sposobem świetny sztandar, który dzierżył i którego bronił zawsze znakomity nasz pisarz, sztandar, na którym lśnią słowa: „Miłość, Praca i Wolność.“

Ale wzniosłe te godła nie każdemu z nas podnieść dozwolono, nie każdemu je głosić. Warszawa, która chce uczcić ten dzień wydaniem jubileuszowéj księgi, mającéj zawrzeć w sobie zbiorową pracę autorów polskich o życiu i pismach Kraszewskiego, musi pominąć wpływ działalności jego na rozwój uczuć i myśli narodowych. Prace Kraszewskiego w tym kierunku nie małéj są przecież wagi, znaczenie ich dla nas olbrzymie. Działalności takiéj nie wolno pominąć. Stać się ona może dla nas nauką i wzorem, a drogowskazem dla Polski na przyszłość.

Prace takie, jak powieści Bolesławity, powieści historyczne z czasów rozbiorowych, „Rachunki“, „Wieczory Drezdeńskie“, dzieła historyczne itp. zajmują wśród licznych prac Kraszewskiego tak wybitne miejsce, że bez nich księga jubileuszowa obyć się nie może. Obowiązkiem jest naszym zapełnić te luki, któreby powstać mogły z powodu wyjątkowych warunków, w jakich się znajduje Warszawa i tym sposobem dla przyszłych biografów płodnego pisarza pewną pozostawić całość.

W tym właśnie celu, w celu dopełnienia księgi jubileuszowéj warszawskiéj oceną działania Kraszewskiego na polu obywatelskiem i narodowem, zawiązał się komitet redakcyjny, który wydanie drugiego tomu takiéj księgi wziął sobie za zadanie i niniejszém zaprasza do współpracownictwa wszystkich polskich autorów, których zbiorową li tylko pracą dzieło takie może dojść do skutku. W księdze téj pomieszczone będą nie tylko rozbiory tych dzieł, które wyszły po za granicami zaboru moskiewskiego i w lepszych stosunkach w jego obrębie, lub też ocena pojedyńczych poglądów tam wypowiedzianych, słowem, nie tylko prace ściśle literackie, krytyczne i naukowe, ale także i opisy pobytu i działań jego w kraju i na tułactwie. Opisy takie zwłaszcza będą bardzo miłym i cennym przyczynkiem do ogólnéj biografii czcigodnego jubilata, a w pracy téj i nieliteraci z zawodu mogą wziąść udział. Kraszewski bawił wśród nas niejednokrotnie, był uroczyście przyjmowany w Krakowie, w Poznaniu, we Lwowie; od lat tylu znajduje się na tułactwie. Wiele jest osób, które miały tę przyjemność spędzenia z nim chwil kilku i niejedne miłe ztąd w sercu chowają wspomnienie. Opis takich chwil komitet przyjąłby z przyjemnością.

Księga jubileuszowa lwowska wydana zostanie drogą prenumeraty, czysty z niéj dochód wpłynie do ogólnéj kasy funduszu jubileuszowego. Komitet więc niepłonną żywi nadzieję, że na cel taki ni piór, ni ofiar pieniężnych nie zabraknie.

Artykuły nadsyłać można do końca grudnia b. r., Autorów uprasza komitet o przedwstępne porozumienie się z redakcyą i doniesienie który ustęp z dzieł opracować, lub który moment z życia Kraszewskiego mają zamiar, w tym celu, aby redakcya mogła jak najrychléj ułożyć dzieło systematycznie i druk natychmiast rozpocząć.

Prenumerata wynosić będzie 3 zł. w miejscu, 3 zł. 50 ct. na prowincyi, 6 marek w Wielkiem ks. Poznańskiem.

Manuskrypta i pieniądze nadsyłać należy pod adresem sekretarza komitetu: Bolesław Spausta, w redakcyi *Gazety Narodowéj* we Lwowie, plac Halicki, pałac Ułanieckich, lub też pod adresem księgarni Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, plac św. Ducha.

Prof. Amborski Jan, dr. Burzyński Edward, Buszczyński Stefan, Darowski Mieczysław, Giller Agaton, dr. Goldman Bernard, Gubrynowicz Władysław, Kostecki Platon, dr. Małecki Antoni, Młocki Alfred, Malinowski Erazm, Niewiarowicz Alojzy Ligęza, dr. Radziszewski Bronisław, Romanowicz Tadeusz, Spausta Bolesław, Szujski Józef, ks. Ufryjewicz Dalmacy, Ujejski Kornel, dr. Węclewski Zygmunt, Widman Karol, Zawadzki Władysław, dr. Żuliński Józef, dr. Żuliński Tadeusz.

Bibliografia Kościuszki.

Zbiera E. Callier.

(Ciąg dalszy.)

— Pierwsze doniesienie o bitwie pod Szczekocinami, z dnia 7 Czerwca 1794 r. w obozie pod Małogoszczem, — u Nabielaka, Tom VI., str. 41—2 i w Gazecie Wolnéj Warszawskiéj, Nr. 15, z dnia 14 czerwca t. r.

— Raport Trzeci Narodowi Polskiemu, z dnia 9 Czerwca 1794, w obozie pod Kielcami, (o bitwie pod Szczekocinami). — Niedokładnie, a może niesumiennie, przedrukowano ten raport, z planem bitwy, w II Tomie Pamiętników z XVIII w. wydanych r. 1862 w Poznaniu, do którego załączono plan bitwy pod Szczekocinami. W przedruku tym dopuszczono się rażącego błędu drukarskiego: zamiast 9 Czerwca, wydrukowano 9 marca. Sumienniéj przedrukował z Gazety Wolnéj Warszawskiéj, Nr. 17, i zamieścił raport ten Nabielak, Tom VI., str. 43—8.

Ciąg dalszy nastąpi.

ŁAMIGŁÓWKA.

0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0
0	0	0	0	0	0

Wyjąć 6 zer w ten sposób, iżby w poprzek i wzdłuż pozostałe zera były do pary bez naruszenia ścian czworoboku.

Łatwiéj jest rozwiązać tę łamigłówkę z naruszeniem ścian czworoboku, ale właśnie ma się rozwiązać bez naruszenia.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu — Czcionkami H. Schmaedickiego w Poznaniu.